

Kiedy miłość nas opęta.

Ktoś wskazał palcem podobiznę w gazetce, rozłożonej na stole.

Kliska, źle odbita, zeszcpecila rysy kobiety, o której samobójstwie dziennik donosił. Była to przyjaciółka słynnego kryminalisty, straconego zrana. Nie chciała przeżyć go.

— Jak można odbierać sobie życie dla zbrodniarza! — rozległ się oburzony głos. — Niepodobieństwem jest przecież, nie mając szacunku dla niego! — zawyroko- wał ktoś kategorycznie.

— Inaczej bowiem, przypominilibyśmy zwierzęta... — zaśpiewała młoda osóбка, wydobywając lusterko z torebki.

— Byłoby to wbrew wyższej naturze ludzkiej, człowieczeństwu!... — krzyżo- wały się wykrzykniki.

Skoro już każdy z obecnych wtrącił swoje trzy grosze, siwowłosa staruszka, przysłuchująca się z pobłażliwym uśmiechem na ustach wymianie zdań, odezwała się swym cichym i łagodnym głosem, kiwa- jąc z zamyśleniem głową

— Kochająca kobieta drwi sobie z tego, że uczucie jej jest wbrew wyższej natu- rze ludzkiej, wbrew człowieczeństwu... Nie ją nie obchodzi!... — Nie dba nawet o życie... — dodała ciszej jeszcze...

W chwili, kiedy to mówiła, wysoka da- ma o smutnych oczach, nie biorąc udziału w rozmowie, wstała i lekkim krokiem ga- zeli wyszła z pokoju.

Staruszka wówczas odezwała się zno- wu tonem poufnym:

— Ta naprzykład, oplakuje mężczyznę, który sześć razy był mordercą! Spotkałam się z nią przed laty w jednym z najmo- dziejszych południowo - zachodnich miejsc kąpielowych. Była to zachwycająca mło- dziutka panienska, zaręczona od niedawna z księciem B..., cudzoziemcem niewiade- mego pochodzenia, pięknym jak Apollo. Mnie osobiście wydawał się wielce niepo- kojającym; wzrok jego budził pewnego ro- dzaju trwogę w mojej duszy. Uroda jego miała coś grobowego w sobie. Skąd przy- bywał? Nikt nie wiedział. Ludzie jed- nak, olśnieni majątkiem i niezwykłą kla- sycznością rysów księcia B., nie wnikalі głębiej w jego życie.

Naręczona uwielbiała go.

Księżę kazał wybudować sobie na wy- erzeżu, w miejscu oddalonym i dzikiem niezwykle, dziwny dom o siedmiu naroż- nikach, zaopatrzonych w wąskie okienka, które pograżały pewnie wnętrza budynku w pewnym rodzaju półmrok. Ekscentrycz- ny ten i brzydki gmach intrygował usta- wicznie gości kąpielowych, przygląda- jących mu się z plaży.

Pewnego wieczora, kiedy narzeczeni rozstali się przed chwilą i Maud, wróciw- szy do ogrodu, wpatrywała się w słońce, nakształt ogniście czerwonego wachlarza rozpościerające się po tafli morskiej, głos za jej plecami szepnął:

— Chciałbym z panią pomówić, jasnie panienko.

— Zdumiona odwróciła się szybko i po- znała marszałka dworu księcia.

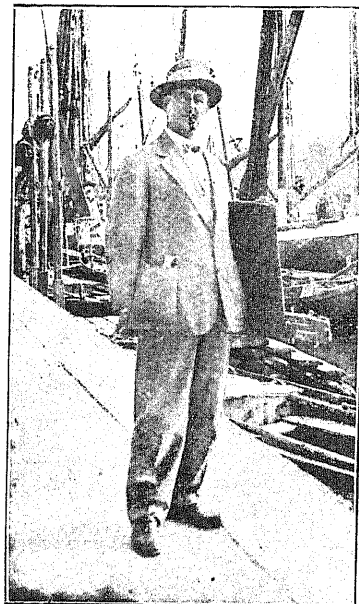
— Wybacz, jasnie panienko — odezwał się bardzo wzruszony — ale ja muszę o- strzec panią... Nie trzeba wychodzić za- maż za księcia!

Maud, spojrzawszy mu bystro w oczy, odparła ze wzgardą:

— Nie pytałam pana o radę...

— Ależ pani nie wie nic o nim! — nale- gał tonem błagalnym, — czyż jego przesz- łość nie budzi trwogi w pani duszy? Czy wiadomo pani, co kryje w sobie ten dziw- ny, nieproporcjonalny dom? Wszak wi- działaś jego wspaniałe salony tylko?

— Nie wychodź zamaż za księcia, bła- gam cię, jasnie panienko — powtórzył, składając ręce jak do modlitwy.



Artysta-malarz, p. Antoni Tadeusz Wippel, w czasie pobytu w Chiagga — mieście ry- backim pod Wenecją.

— Milczeć i nie wtrącać się do mieswo- ich rzeczy!

— Jeśli mi pani nie wierzy, racz pani pójść za mną. Trzeba, żeby pani przeko- nała się naocznie.

Głos jego był taki dziwny, że zacieka- wiona poszła wślaz za nim przez ogród i krętą ścieżką ku skałom, u stóp której wznosiła się willa księcia.

Okrążywszy gęste zarośla, weszli przez ukryte drzwi do dużego hall'u, wyłożo- nego płytami. Ogniste smoki na witra- żach iście piekielnym blaskiem napełniały salę.

— Niech się pani ukryje tu za portjerą — szepnął marszałek dworu i... ani słowa. Powiedziawszy to, sam znikł i ukazał się niebawem we fraku przy hebanowym kre- densie z dwoma iokajami u boku. Po nie- jakiej chwili szkarłatna kotara z aksamitu rozsunała się, ukazując oszołomionej Maud stół, zastawiony kryształami i srebrem

w świetle elektrycznych kinkietów. Za stołem siedział plecami do niej księżę w u- roczystym stroju w otoczeniu sześciu wy- dekoltowanych kobiet. Grobowe milcze- nie towarzyszyło uczcie. Jakież było zdu- mienie Maud, kiedy zauważyła po pewnym czasie, że towarzyszkę księcia były figu- rami z wosku!

Po skończonym obiedzie, księżę wstał od stołu i skłoniwszy się dworsko mane- kinom wyszedł automatycznym krokiem z sali. Wówczas wygalowany olbrzym powynosił woskowe damy kolejno. Ze sztywnych postaci zwieszały się ku ziemi drogocenne suknie, mieniące się złotym i srebr- nym brokatem.

— Co to jest? Co to znaczy? — szep-nęła Maud, kiedy marszałek dworu zbliżył się do niej ukradkiem

— Księżę kazał odlać z wosku figury swoich żon. Był już bowiem sześć razy żonaty i wszystkie jego żony zeszły z te- go świata w tajemniczy sposób. Każdy wyskok muru z zewnętrznej strony willi jest pokojem jednej z nieboszczek, umeb- lowanym jak za jej życia: łóżko, zdobne w jedwabne firanki i drogocenną koronkę, ściany zawieszone pięknymi gobelinami, posadzka pokryta puszystym perskim dy- wanem. W każdym z sześciu pokoi znaj- duje się woskowa figura żony, której jest odbiciem. Każdy manekin ma swoją poko- łówkę, obowiązana sprzątać jego pokój i u- bierać go co wieczora w jedną z sukien nieboszczki, wiszących w szafie.

— Siedem jest takich narożnych pokoi w tej willi — zakończył marszałek, wypro- wadzając Maud bocznym wejściem z sali — siódmy, próżny jeszcze... czeka na mane- kin... Idź z Bogiem, jasna panienko i niech cię Matka Najświętsza ma w Swej opiece!

Staruszka zamilkła, zamyśliwszy się głęboko.

— Pocziwy marszałek łudził się — za- brała głos znowu wśród ogólnego milcze- nia — przypuszczając, że Maud zleknie się losu swoich poprzedniczek. Nie był wi- docznie znawcą serca kobiety. Biedna dziewczyna do tego stopnia kochała księ- cia B., że za cenę trzech miesięcy szczę- ścia z nim, gotową była zapomnieć o roli manekina z wosku, czekającej ją po nagłej i niespodziewanej śmierci.

— Wiadomo, że kobiety mają ptasi mózg — zauważył z przekonaniem jakiś wróg płci pięknej — każda z nich łudzi się zawsze nadzieją, że będzie wybranka losu.

— Ależ bohaterka pani opowieści — żyje — zwróciła się jedna z młodych słu- chaczek do staruszki przytomnie — skoro była tu przed chwilą! Czyżby księżę wy- leczył się ze swej morderczej manji?

— Właściwie nie — odparła staruszka — dostał tylko, na szczęście, ataku ostre- go szału na ulicy w wilję swego ślubu i siedzi teraz pod kluczem w zakładzie dla furjatów ku nieopisanemu rozpaczowi Maud, niepokieszonej po stracie narzeczonego.

— Dotychczas płacze po nim.

Tłum. Jotsaw.



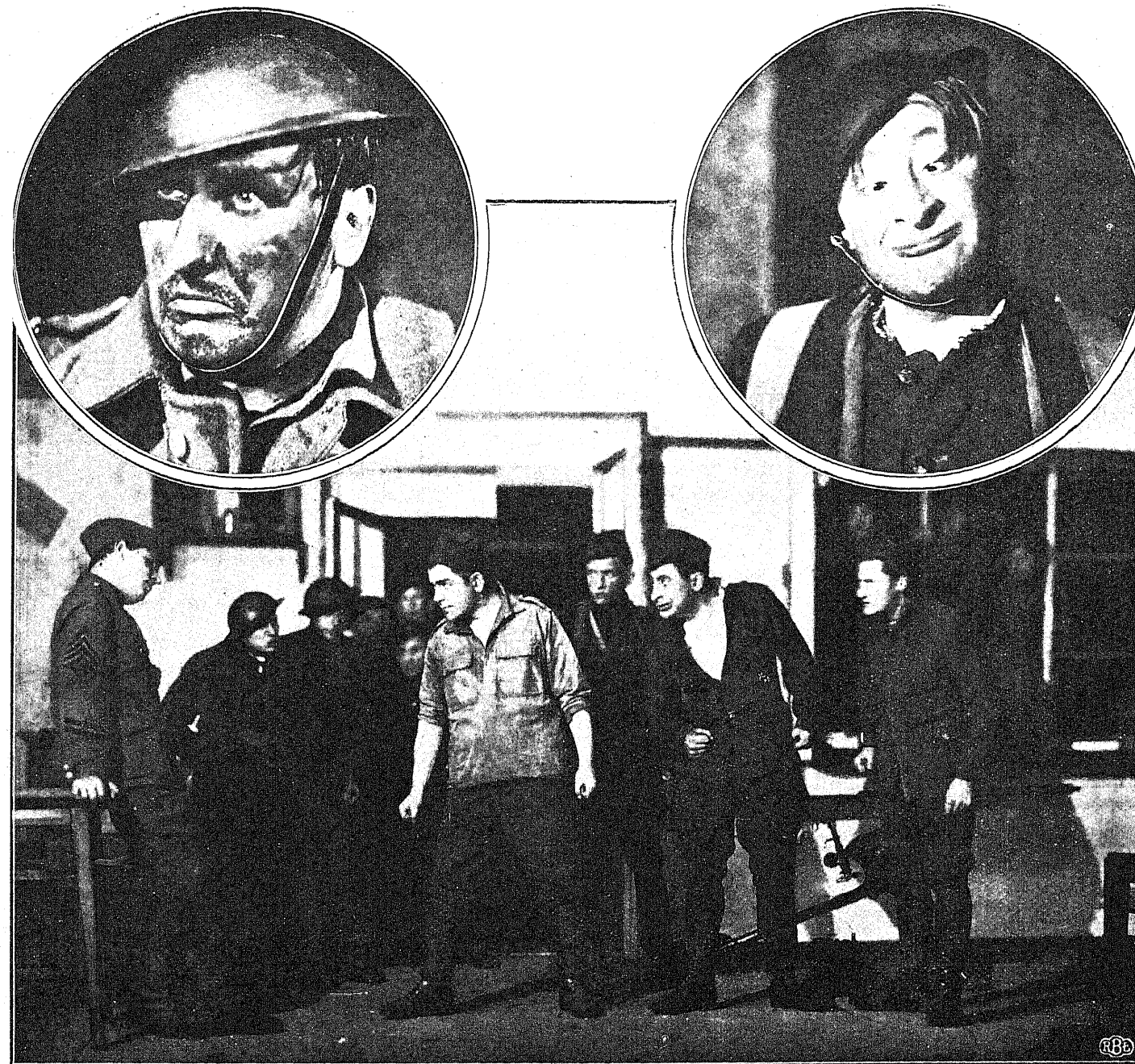
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VI

Niedziela, dnia 13 października 1929 r.

Nr. 41.

„Rywale” w Teatrze Miejskim.



Teatr Miejski w Łodzi wystawił ostatnio rewelacyjną, osnutą na tle okrucieństw wielkiej rzezi narodów, jaką była wojna wszechświatowa, sztukę Andersona, Stallingsa i Zuckmayera p. n. „Rywale”, w kapitalnej reżyserji i inscenizacji Leona Schillera, wytrawnego reżysera sztuk współczesnych.

Na zdjęciach powyższych w owalu od strony lewej widzimy p. Kijowskiego w roli kapitana Flagga, od strony prawej p. Mrozińskiego w roli żołnierza, niżej zaś fragment I-go aktu.

TEATRALJA.

Z Krakowa i Lwowa. — Stołeczna operetka „reprezentacyjna”. — Rozwiązanie zagadki. — Drobiazgi teatralne.

W rozmowie z przedstawicielem jednego z dzienników krakowskich, dyrektor Teatru im. Słowackiego, p. Trzcziński, rzucił nieco światła na swe plany i zamiary repertuarowe, ukazując dalsze perspektywy rozpoczętego już pomyślnie sezonu. „Przebojami” jego mają być 2 sztuki, w Polsce dotychczas niegrane, mianowicie: „Abraham Lincoln” — Drinkvatera i „Moloch” — St. Marca. Na najbliższe tygodnie przewidywane jest wystawienie jednej ze sztuk Wyspiańskiego, kontynuowanie cyklu komedyj Fredry, „Adwokat i Róże” — Szaniawskiego. „Mysz kościelna” — Fodora i ciekawa sztuka Józefa Wiśniewskiego, oparta na motywach wojny światowej. Dyr. Trzcziński zamierza również urządzać widowiska na dziedzińcu wawelskim, tak pięknie zapoczątkowane „Odprawą posłów greckich”. Sezon krakowski uświetnią występy najpierwszych aktorów polskich; zapowiedziana jest już gościna Junoszy-Stępowskiego (powtórnie), Jaracza, Solskiej Wysockiej, Brydzińskiego. Dyr. Trzcziński, który — po paroletniej przerwie — objął ponownie ster teatru krakowskiego, pełen jest zapału i najlepszych nadziei, których spełnienia życzymy jak najszczerzej.

Z okazji wystawienia na scenie krakowskiej komedji Stefana Kiedrzyńskiego p. t. „Miłość bez grosza” (granej w sezonie poprzednim w Łodzi, jeden z recenzentów tamtejszych w feljetonie pod charakterystycznym tytułem „Moral insanity na scenie” surowo ale trafnie kwalifikuje poziom moralny zarówno komedji Kiedrzyńskiego, jak i wogóle — większości produkcji młodszych komedjopisarzy warszawskich. „Jest ostatni czas — czytamy w feljetonie — aby podkreślić zastraszający poziom etyczny naszej produkcji komedjopisarskiej, zwłaszcza warszawskiego pochodzenia, który sprawia, że sztuk nie możnaby pokazać nigdzie zagranicą... Jeśli domagamy się, aby ilość sztuk sensacyjnych i występujących w nich alfonsów i opryszków ograniczona była jakimś numerus clausus, to żądamy tego tembardziej w stosunku do sztuk obyczajowych, malujących współczesne polskie życie. Pamiętajmy, że pozostaną one nazawsze dokumentem naszych czasów, jeśli prawdą jest, że teatr „daje postać i piętno duchowi wieku”. Niechże więc p. Kiedrzyński et consortes ograniczą procent swych figur scenicznych, dobieranych z pośród mętów moralnych i niech nie pozostawiają wrażenia, że w ich warszawskim polu obserwacyjnym kręcą się sami lajdacy... Dodamy od siebie, że ta opinia krakowskiego krytyka o „Miłości bez grosza” i t. p. utworach komedjowych pokrywa się niemal całkowicie z tem, co w swoim czasie pisał o tej kategorii „dzieł” scenicznych” „Kurier Łódzki”.

Wielce powikłana sytuacja teatralna we Lwowie, która doprowadziła, jak pisaliśmy, do czasowego zamknięcia teatrów miejskich, uległa pewnemu odprężeniu. Komisja teatralna postanowiła rozpisac

konkurs na prowadzenie teatrów, z dwutygodniowym terminem wnoszenia ofert. Narazie sąd polubowny pomiędzy b. dzierżawcami a gminą miejską postanowił oddać gminie dzierżawiony przez pp. Barwińskiego i Zarembe budynek Teatru Wielkiego, aż do czasu rozstrzygnięcia wzajemnych pretensyj materialnych. Zarząd teatrów miejskich oddano prowizorycznie Związkowi Artystów Scen Polskich (oddział lwowski) pod kierownictwem p. Czarneckiego. Obydwa teatry miejskie zostały już uruchomione. W Teatrze Wielkim, pomimo tak ciężkich dla aktorstwa lwowskiego opresji, rozpoczęto sezon wystawieniem „Spazmów modnych” Bogusławskiego, w związku z setną rocznicą zgonu ojca sceny narodowej. Ten akt hołdu był tem więcej na miejscu, że Lwów był terenem czteroletniej pracy dyrektorskiej Bogusławskiego (1795—1799) i we Lwowie wystawił on m. in. „Hamleta” po raz pierwszy w Polsce. Przedstawienie „Spazmów modnych” wypadło w danych warunkach bardzo korzystnie; reżyserja p. Dobrzańskiego nadała komedji szatę miłej stylowości, obsada aktorska, z pp. Malanowiczówną, Rasińskim i Kwiatkowskim na czele, spisała się bez zarzutu.

Stołeczna operetka „reprezentacyjna”, o której powstaniu i zamierzeniach artystycznych już donosiliśmy, przeszła w tych dniach swój chrzest ogniowy, wystawiwszy niegraną dotąd u nas melodyjną i oryginalną operetkę Kalmana p. t. „Księżna Chicago”. Trzeba stwierdzić, że to pierwsze przedstawienie postawiło nową imprezę operetkową odrazu na bardzo nieprzeciętnym poziomie i dowiodło zarówno wielkiej troskliwości dyrekcji, jak doskonałego zespołenia wysiłków reżysera, dekoratora i baletmistrza, nie mówiąc już oczywiście o śpiewakach, którym się z natury rzeczy prym należy. Pierwszeństwo to utrzymane zostało zwycięsko i w całej pełni, a tak-

że siły solistów, jak pp. Gistedt, Chorjan, Orska i Sowiński mogłyby być ozdobą nie tylko operetkowej sceny. Miejmy nadzieję, że operetka „reprezentacyjna” pokona wszelkie mogące się wyłonić przeciwności i odświeży piękne tradycje dawnych „Nowości”, tak żywych jeszcze w pamięci przedwojennej publiczności.

W jednej z kronik naszych podawaliśmy sensacyjną historję o nierozwiązalnej dotychczas zagadce osobistości autora kilku świetnych sztuk teatralnych („Przestępcy” i in.), który ukrywał się pod maską pseudonimu Ferdynanda Brucknera. Pasjonująca ta zagadka, dająca publiczności Wiednia i Berlina nadwyzczaj rozległe pole do przypuszczeń i domysłów, nabrała niedawno szczególnej ostrości, ze względu na zapowiedziane w Berlinie wystawienie nowej komedji Brucknera p. t. „Kreatura”, o którą walczyły dyrekcje dwóch teatrów. Jeden z dzienników berlińskich — celem wyświetlenia intrygującej tajemnicy autorskiej — uciekł się do pomocy... prywatnego biura detektywów, skąd wydelegowano pewnego bardzo zdolnego współpracownika. Detektyw ów, przeprowadzając swe badanie w Wiedniu i Berlinie, drogą bardzo mozolnych a pomysłowych poszukiwań dotarł wreszcie po nitce do kłębka i ustalił z wielką dozą prawdopodobieństwa, że tajemniczy Bruckner jest w istocie dyrektorem jednego z mniejszych teatrów berlińskich — Taggerem, który zresztą pod własnym nazwiskiem jako autor sceniczny jest zupełnie nieznan. Jak twierdzi ów ciekawy prawdy dziennik, istnieje 80 procent prawdopodobieństwa, że Bruckner i Tagger są tą samą osobą. Rozwiązanie to, oczywiście, nie zmniejszy ani nie zwiększy wartości sztuk Brucknera, ale zaspokoi ciekawość ludzką, która nie znosi zagadek i nieomówień.

Delta.



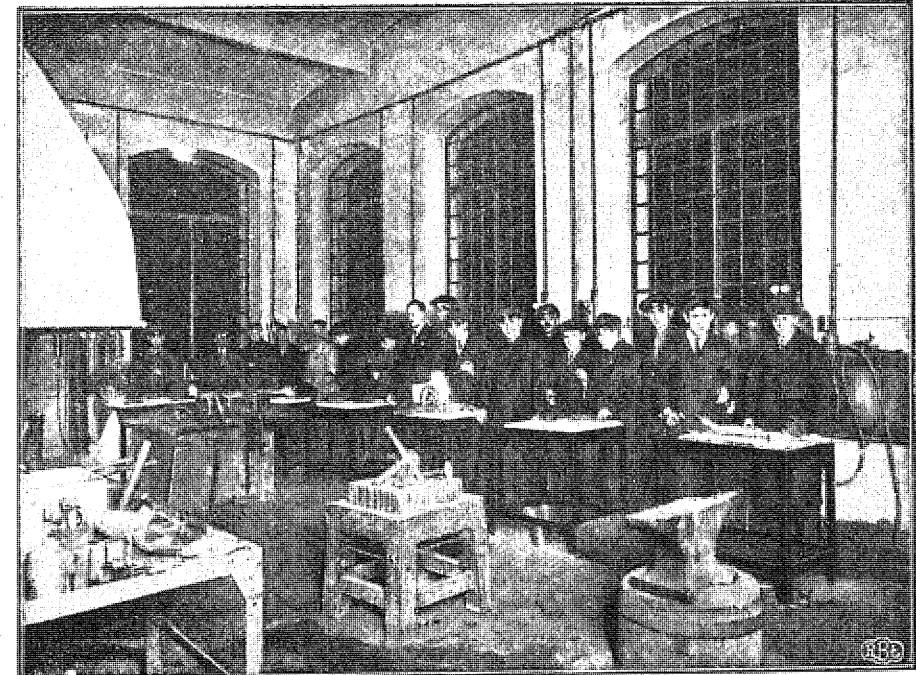
Zbyszko Sawan w polskim filmie morskim p. n. „Pod banderą miłości” reżyserji M. Waszyńskiego.



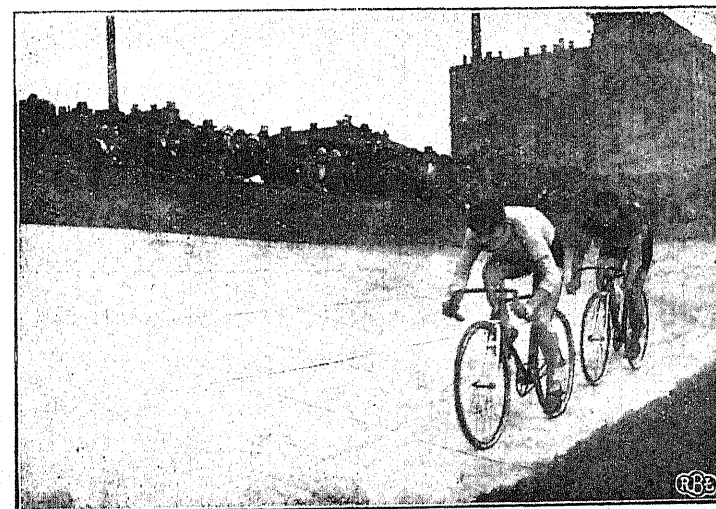
Zespół katedralnego chóru sumowego ze swym dyr. p. Cz. Ullasem na czele.



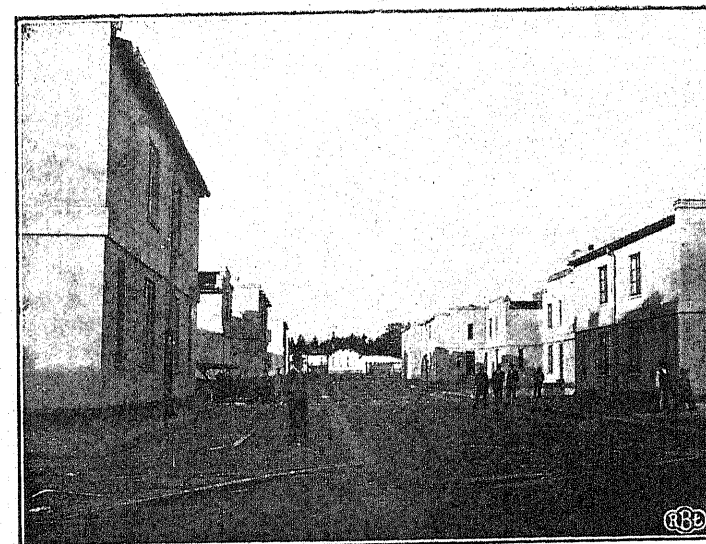
P. H. Karol Martz, dyr. Tow. Akc. Jolm w Łodzi, obchodził 25-letni jubileusz pracy swej w tej firmie.



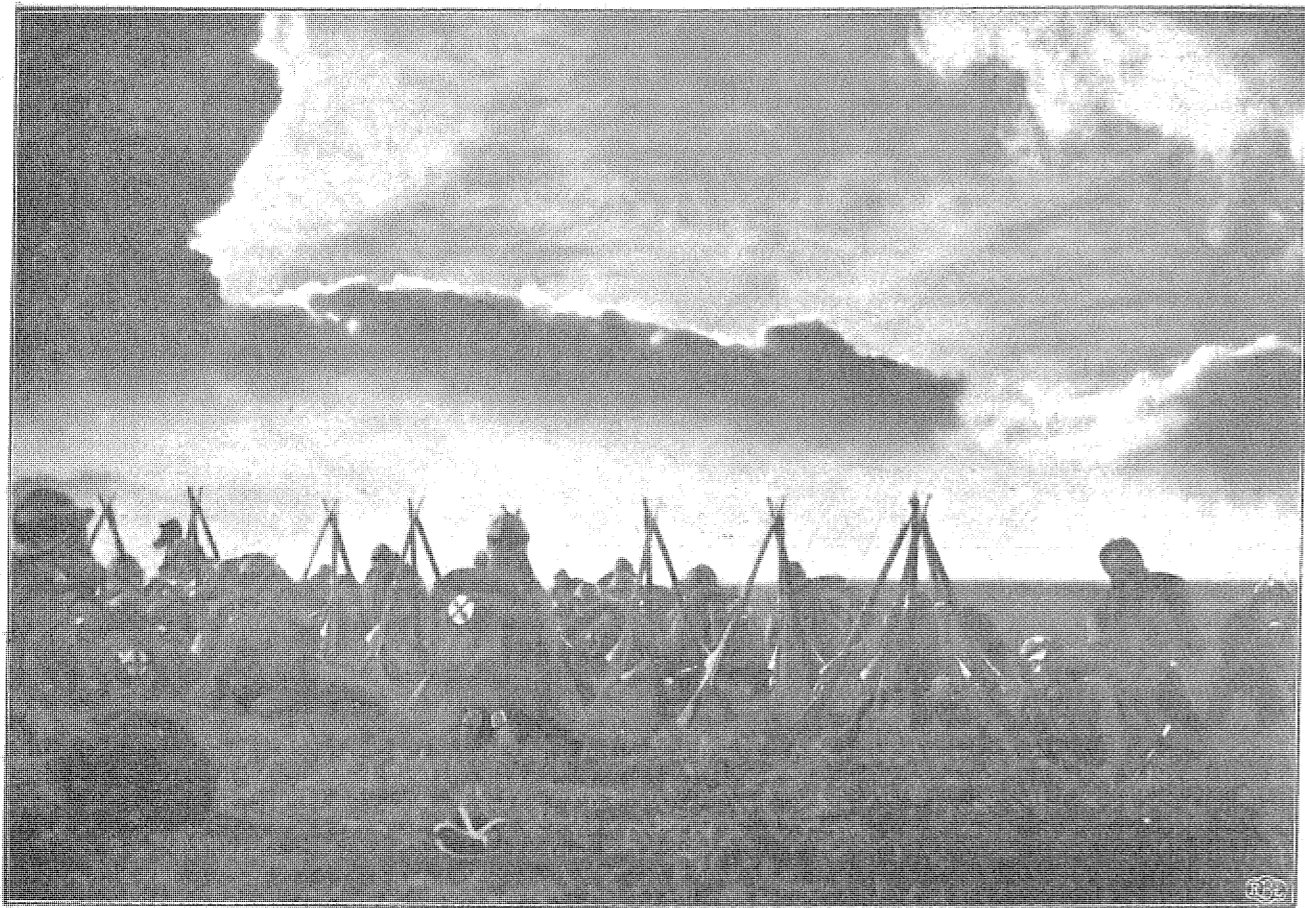
Kurs spawania acetylenem, zorganizowany przez Łódzkie Tow. Kursów Technicznych.



Fragment z ostatnich zawodów kolarskich na torze w Helenowie



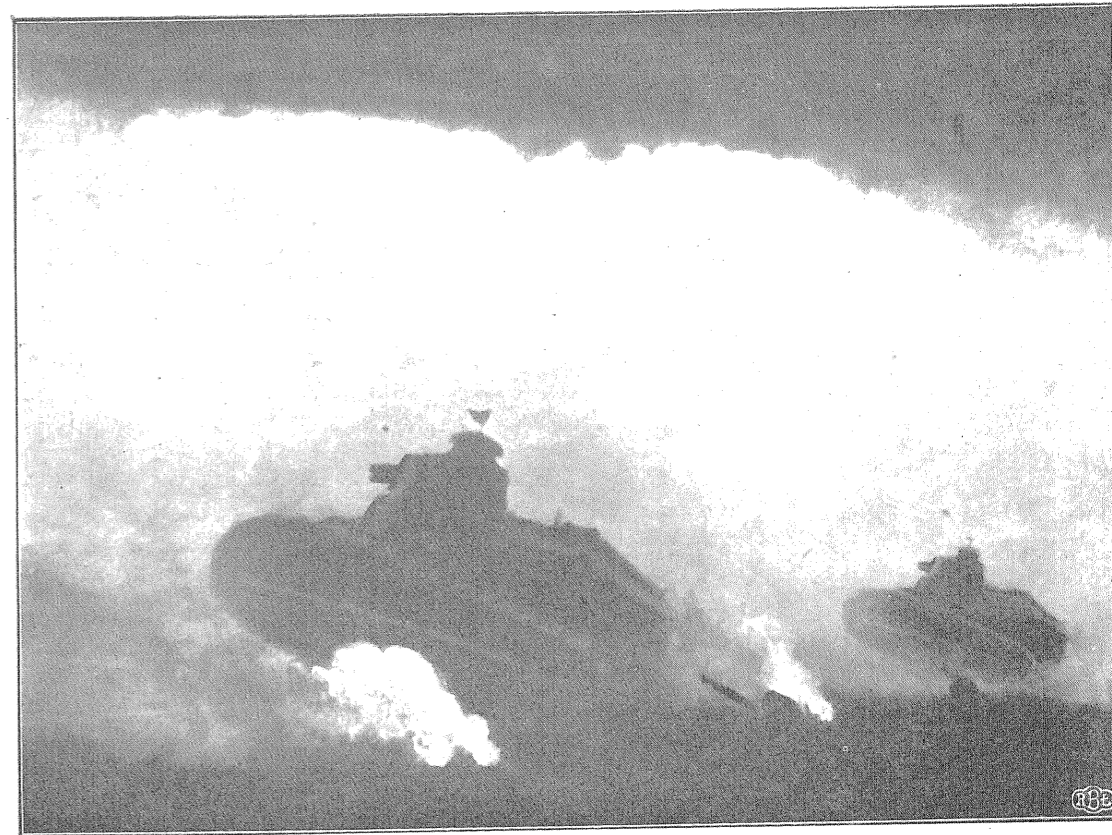
Pięknie wykończone osiedle robotnicze w Karłowic. t. A. Meyer.



W dniu 6 b. m. rozpoczął się w Łodzi VI Tydzień Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, którego zadaniem jest spopularyzowanie metod samoobrony przed gazami trującymi na wypadek wojny oraz uświadomienie ludności, jak wielkim i groźnym niebezpieczeństwem jest gaz bojowy. Powyżej widzimy oddział piechoty w maskach przeciwgazowych.



Lon Chaney, człowiek o stu twarzach, do swych najlepszych kraczy zalicza „Dzwonnika z Notre-Dame” i „Upiora w Operze”.



Atak czołgów pod zasłoną dymów. Przebijają one przez gęstą chmurę gazów bojowych. Ołbrzymie te maszyny pancerne, przed którymi niema żadnych przeszkód, posuwają się groźnie naprzód.



Ciekawy fragment z akcji bojowej. Żołnierze w obawie przed gazami czynią przygotowania do samoobrony przy użyciu masek.



Lili Damita w pięknym filmie „Świat miłości”.



Artystka filmowa Florence Vidor.



Żnany miłośnikom kina artysta Adolph Menjou



Sammy Cohen, doskonały komik amerykański.



Oddział karabinów maszynowych, ostrzeliwujący samoloty wojenne, miotające bomby gazowe. Obsługa karabinu maszynowego uzbrojona jest w maski przeciwgazowe.

Mistrz Polski w wioślarstwie.



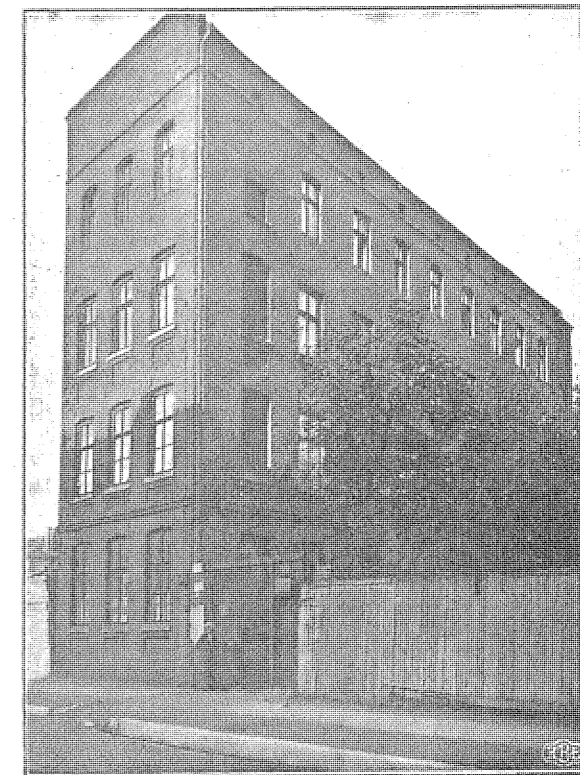
Polskie towarzystwa wioślarskie w roku bieżącym okazały dużą żywotność oraz dały dowód wspaniałego przygotowania, rutyny i sprawności w licznych popisach i zawodach. W regatach wioślarskich, jakie odbyły się w Bydgoszczy, wziął również udział mistrz Polski w wioślarstwie, Oś wיעiński, którego podobiznę widzimy powyżej.



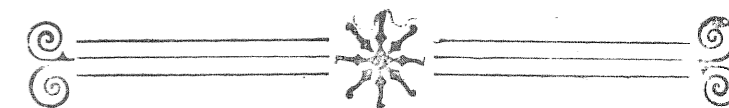
Znany w Łodzi artysta-malarz, Antoni Wippel, w czasie pobytu w Wenecji w towarzystwie obywateli amerykańskich pp. Durand na placu św. Marka.



Artyści filmowi Richard Arlen i Charles Rogers.



Gmach, będący własnością i siedzibą Związku Majstrów Fabrycznych w Łodzi przy ul. Żeromskiego 73. Fot. A. Meyer



Polska lekkoatletka, p. Warecka, w ujęciu karykaturalnym.

Kobza żołnierska.

Od czasu Mattilin-an-Dall, którego Parry okłaskiwał w „La Closerie des Genêts“; którego Ludwik-Filip zapragnął słyszeć w Tuillerie, żaden „trębacz“ w Bretanii nie cieszył się taką sławą, co Jozon Thoraval.

Był to chłopiec piękny jak malowanie, którego dziewczęta wyrwały sobie. On jednak kochał swoją kobzę tylko.

Jozon miał lat trzydzieści, kiedy wojna 1870 roku wybuchła i został wysłany wraz z innymi rezerwistami swego okręgu do obozu w Comlie, którego dowódca Keratry umyślił był zastąpić rogi w swoich batalionach kobzami. Pomyśl nie był zły i nie-jeden żołnierz zawdzięczał czarowi tej dzikiej, lecz tak drogiej dla uszu bretońskich muzyki, odporność swą na nostalgia.

Pod Droue Jozon jeden z pierwszych jest ranny: kula, przebiwszy bukłak jego kobzy i ześlizgnąwszy się z dmuchawki zlamala mu obojczyk; w kilka dni potem, z łopatką jako tako wyleczoną, odesłano go wraz z konwojem innych więźniów do twierdzy Ingolstadt, skąd pierwszy raz 6 stycznia 1871 roku daje wiedzieć o sobie rodzinie, która ma go za umarłego. Donosi, że zdrow fizycznie, cierpi bardzo moralnie z powodu straty swej kobzy, która została w kałuży krwi, na bruku małego miasteczka. Jest jak ciało bez duszy bez niej. Nie pisze jednak o strasznej wilgoci w kazamatach, niedostatecznym odżywianiu, złem obciążeniu, tyfusie i dezynferji, wreszcie jako skutku takich barbarzyńskich warunków życia. Drugi list, datowany 24 stycznia, jest weselszy od poprzedniego, jakkolwiek wysłany ze szpitala, gdzie Jozon leczy się na katar płuc. Na sali bowiem jest młodzianka siostra miłosierdzia, Badenka, która mówi po francusku, ponieważ przed włożeniem kornetu zakonnego była w charakterze bony u markiza C... w Bretanii, w parafji Jozona. Nazywają ją siostrą Jadwigą. Jest bardzo dobra dla więźniów, szczególnie dla Bretończyków.

* * *

Trzeci list otrzymała rodzina Jozona od siostry Jadwigi, która donosi o beznadziejnym jego stanie; Jozon jest chory na galopujące suchoty. Niech mu przysła — nie pieniądze — nie potrzebuje ich teraz — lecz coś, coby mu przypomniało kraj rodzinny.

List, obłany gorącymi łzami, wywołał długie rozprawy pod rodzinną strzechą grajka. Aż wreszcie dobrze wypchana paczka została odniesiona na kolej i pewnego wieczoru Jozon, który nie mógł już ruszyć się z łóżka, otrzymał ją z rąk siostry Jadwigi. Było święto wówczas u naszych zwycięzców. Telegram bowiem przyniósł wiadomość, że Zebranie Narodowe ratyfikowało preliminarja pokoju: major, lekarze i dozorczy chorych opychali się na cześć triumfującej Germanji. Jedna tylko siostra Jadwiga oddawszy Jozonowi prze-

syłkę i cofnąwszy się dyskretnie w głąb sali, odmawiała różaniec.

Niezręczni z niecierpliwości rękami Jozon rozplątywał sznurki. Wszyscy chcieli ucichli w naprężonym oczekiwaniu.

Rozlegał się tylko szepł siostry i bezustanne „la Allah Illaha“ Turka — Ben-Maboula — leżącego obok Jozona i skandującego swe psalmy. Oczy chorych wpijały się w palce faworyta siostry Jadwigi, błyszcząc wyrazem zazdrosnej ciekawości.

Ten się dzieckiem szczęścia! Im nic nie przystano z domu!...

I oto z paczki, uwolnionej wreszcie ze swych więzów, wyłoniły się, jak groch z kapustą: trykot wielniany, trzy pary pończoch, jabłka, wędzona kiełbasa, gruba jak udo, którą Jozon, w przystępie radości okręca sobie koło pięści.

-- Wystarczy dla każdego po kawalku -- oznajmia wpatrzonym jak w tęczę to-



Rod la Roque zaangażowany został przez Williama Foxa do filmu: „Romans tajemniczego Wschodu“.

warzyszom niedoli, których dłonie już się wyciągają chciwie.

Lecz rozczarowana paczka nie wydała jeszcze wszystkich utajonych skarbów i na dnie worka widać było jakiś dziwny przedmiot kształtu wklęsłego pęcherza z długimi końcami, które czyniły go podobnym do wielkiego martwego pajaka.

Jozon zbliżył się jak ściana. Od pierwszego rzutu oka poznał rodzaj przedmiotu, który intrygował jego towarzyszków i wzruszenie jego było tak wielkie, że nie mógł zdecydować się dotknąć go.

— Wydobądźże! Co to jest? Czy trzeba dopomóc? Boisz się, żeby nie ugryzło? — Rozlegały się głosy.

Odważył się wreszcie: ostrożnie, jak gdyby brał w ręce cyborjum, wyjął z worka, gdzie leżała na posłaniu w rzosiny, kobzę nowiuteńką o czterech dmuchawkach, przystrojoną we wstęgi, jak na weselu.

— Ach! moja siostró! — szepnął Jozon w umiesieniu, podnosząc instrument do ust.

* * *

Czy usłyszała ten szepł błagalny, to westchnienie umierającego? Siostra Jadwiga, przymknawszy oczy, jak gdyby głę-

biej jeszcze zatonęła w swym różańcu. Nie powiedziała „tak“, lecz mrugnięcie jej powiek można było od biedy wziąć za przyzwolenie!... Major zresztą i dozorczy, oddani hulatyce, nie prędko wstają od stołu. Biedny Jozon zaś ma oddech tak słaby, że kobza jego wielkiego hałasu nie zrobi!...

Zebrawszy resztę sił, Jozon wówczas zadał w bukłak swej kobzy i wydobyl zeń nutę żalną, jak rżenie żrebięcia. Cały pokój drgnął nagle. Ben-Maboul nawet, przerwawszy po raz pierwszy swój psalm, usiadł i, z oczami rozszerzonymi, z niemłą swą oliwkową twarzą, przeistoczona ekstazą, słuchał, marząc może o „mouba“ swego plemienia, rozdzielającej błękit nieba afrykańskiego...

Inni chorzy, Bretończycy po większej części, rozumieli lepiej, co się dzieje. Słuchając z początku po dyletancku muzyki słynnego na całą Bretonję grajka, który i teraz nawet, trawiony suchotami, jedną nogą w grobie, był jeszcze królem „kobziarzy“, ulegli w końcu jak Turek czarowi instrumentu i zasłuchani zapomnieli o Jozonie, sali szpitalnej, Ingostadtce, Niemcach, wojnie, — widząc przed sobą w oddali coś, co im lży wyciskało z oczu...

Jozon grał „Ann-hini-goz“, hymn narodowy plemienia. I nigdy starodawny temat ludowy nie był z taką maestrią interpretowany: Pod arpedżjami Jozona wskrze sała cała Bretonja z jej borami, landami, swem niebiesko - zielonawem morzem, niskim niebem i wrzynającą się weń koronką swych dzwonic.

Nikt z obecnych chorych, ani siostra Jadwiga, ani Turek z szeroko otwartymi ustami i nieruchomym wzrokiem nie był na tym realnym świecie. Dlatego to nikt nie usłyszał skrzypienia butów i stuku podłogi zwiastujących zwykle zbliżanie się majora.

* * *

Wpadł jak wicher; spotniały, czerwony, z serwetą pod brodą, z oczami z orbity wysadzonymi -- straszny. Dwaj dozorczy szli za nim w przepisanej odległości...

— Verflucht! (Do kroćset!) Czyś oszalała, schwester, (siostró), że tolerujesz taki hałas w swej sali?... Odbierzcie instrument temu żołnierzowi, dozorczy!

Dozorczy rzucili się na Jozona, który grał wciąż. Lecz z sąsiedniego łóżka, Ben-Maboul, wyrwany nagle ze swej ekstazy, zerwał się i podskoczywszy do majora, chwycił go oburącz swymi olbrzymimi dłońmi za gardło, wpił się paznogłami i zmiażdżył tętnicę szyjową.

Jozon oddał Bogu ducha tego samego wieczora, Turka rozstrzelano nazajutrz. A siostra Jadwiga po spakowaniu kobzy i rzeczy grajka, rozdaniu innym chorym zapasów żywnościowych i zachowaniu dla siebie pęku rzosiny, napisała do rodziców Jozona ostatni list — ostatni rozdział swej czystej i bolesnej idylli.

Tłum. Jotsaw.



Łódź w ilustracji

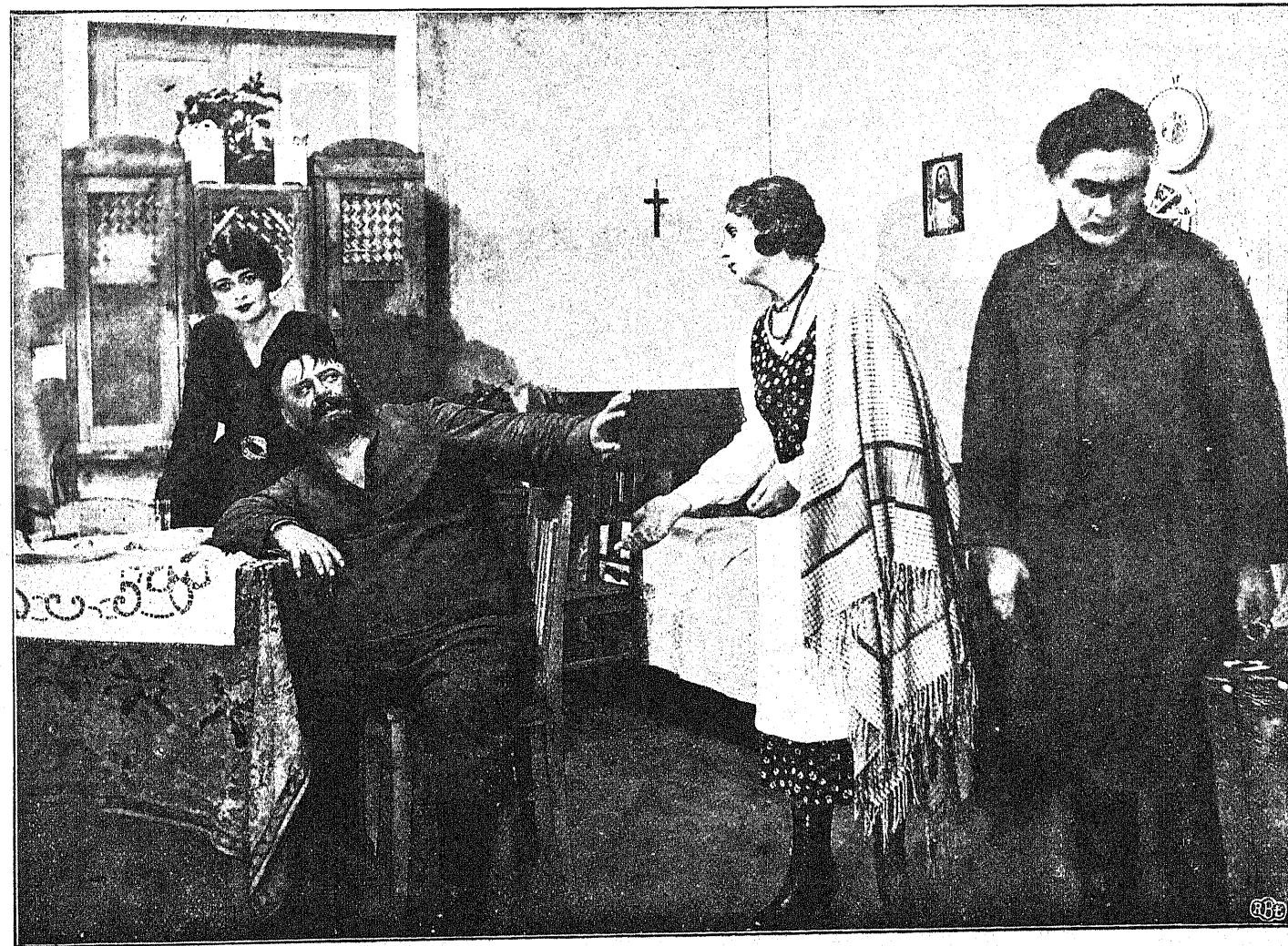
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VI

Niedziela, dnia 20 października 1929 r.

Nr. 42.

„Karol i Anna” w Teatrze Kameralnym.



W ubiegłym tygodniu Teatr Kameralny w Łodzi wystawił ciekawą sztukę Leonarda Franka p. n. „Karol i Anna“. Powyżej podajemy fragment jednego z aktów tej kapitalnej sztuki, granej z niezwykle zaciekłym i brawurą. Na zdjęciu od strony lewej: p. Marcinowska, p. Leopold Zbucki, świetna Anna w interpretacji p. Makarczyk-Wasilewskiej i p. Madallfiski. Pot. A. Meyer.